№ 26. Warszawa, dnia 18 (30) Czerwca 1888 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

W ciągu ostatnich lat dziesięciu, pojawiło się mnóstwo życiorysów Mickiewicza. Wymienimy tu naprzód obszerne dzieło krytyczne pana Piotra Chmielowskiego, następnie częściowe wspomnienia i studya: *Mickiewicz w Wilnie i Kownie* Trzeciaka, *Adam Mickiewicz od roku 1829 do 1832*, Mazanowskiego; *Kronika anegdotyzmu* Bełzy; *Studya nad Panem Tadeuszem* Biegielejsena; *Mickiewicz w Wilnie i Kownie* Teodora Wierzbowskiego; *Ewunia* księdza Jana Siemieńskiego i t. d. Do tych wszystkich życiorysów wielkiego poety, przybył dziś jeden, napisany w języku francuzkim przez Władysława Mickiewicza, wydany niedawno w Paryżu. Łatwo odgadnąć, że ta ostatnia praca, odznacza się bogactwem i nowością materyałów, nagromadzonych troskliwie przez syna, chlubiącego się słusznie wielkim ojcem.

Pierwsza część dzieła obejmuje dziecinne i młodzieńcze lata poety, nad tą częścią zatrzymamy się wyłącznie, wiadomo bowiem, jak silne piętna wrażenia odebrane w młodości, wyciskają na całem pasmie życia genialnych jednostek, słusznie też wyrzekł inny wielki poeta:

> Młodość mistrzu jest rzeźbiarką,
> Co wykuwa żywot cały,
> Choć ubieży sama szparko,
> Rzut jej dłuta wiecznotrwały!

Urodzony 24 Grudnia 1798 roku, w wiosce Zaosiu pod Nowogródkiem, Adam Mickiewicz był drugim z rzędu synem adwokata, powszechnie szanowanego. Zdolność do nauk wspólną była całej rodzinie. Z czterech synów najmłodszy Antoni, zmarły w szóstym roku, umiał już biegle czytać i pisać, znał rachunki, okazywał niezwykły talent do muzyki i rysunku. Rodzice niepocieszeni po śmierci chłopczyka opuścili Zaosie i zamieszkali w Nowogródku; wymagało tego zresztą wychowanie trzech synków. Dziewięcioletni Adam, rozpoczął nauki w kollegium OO. Dominikanów, w roku 1807.

Od najmłodszych lat, z szczególnem upodobaniem przysłuchiwał się ludowem piosenkom, gdy dziewczęta wiejskie śpiewały je przy ognisku, przędząc len we dworze, pod okiem starej niańki Gąsiewskiej. W szkole znów, korepetytor Jankowski, opowiadał mu bezustanku legendy i baśnie ludowe, czem rozbudził wyobraźnię genialnego dziecka.

Miał lat jedenaście, kiedy po raz pierwszy popróbował sił w poezyi. Opisał wierszem pożar kościoła w Nowogródku, przerażony widokiem katastrofy.

Ojciec umarł w roku 1812, chłopczyk miał naówczas lat trzynaście. W trzy lata potem, gdy ukończył szkoły, matka wysłała go na uniwersytet do Wilna. Tę podróż później, tak opowiadał Mickiewicz przyjaciołom:

„Miałem lat szesnaście kiedy mnie z domu wyprawiono. Zabrałem z sobą dubeltówkę, w przekonaniu, że wśród gór otaczających Wilno, spotkam się ze złodziejami. Przeczucie nie zawiodło, o kilka wiorst od miasta, spostrzegam człowieka wychodzącego z lasu; idzie ku mnie prosto przez pole, krzyczy na cały głos: „stój!" Porywam za strzelbę, woźnica wstrzymał konie, wołam aby popędził w cwał, a on odpowiada najspokojniej: „Ależ to jakiś pan". Otóż ów pan zbliża się, prosi bym go zabrał do miasta, bo się zmęczył polując dzień cały. Nazywał się Michniewicz. Rozmawiamy w drodze, za przybyciem prowadzi mnie do domu. Żona jego serdecznie mnie przyjęła, dawała rady jak mam się przedstawić kanonikowi Mickiewiczowi, jak przysposabiać do egzaminu. Kanonik pomieścił mnie u siebie, radził abym wszedł do szkoły, gdzie kształcono młodzież na profesorów."

Mickiewicz znalazł w Wilnie grono wyborowej młodzieży. Pociągnięty wspólnością myśli i uczuć ukochał całem sercem towarzyszów. Do grona tego należał Tomasz Zan, Franciszek Malewski, Jan Czeczot, Ignacy Domejko, Józef Jeżowski, a pó-

źniej Odyniec i Aleksander Chodźko, jedyny co pozostał dziś przy życiu.

W roku 1818, Tomasz Zan, podczas wakacyi letnich, zawiózł Mickiewicza do Tuchanowicz, wsi należącej do rodziny Wereszczaków. Mieszkała tam wdowa z synami i jedyną córką Maryą. Panienka ta, obudziła gwałtowną miłość w dwudziestoletnim młodzianie.

Wiadomo jak wielki wpływ wywarła owa Marylla na rozbudzenie geniuszu, w wielkim poecie naszym. Zawdzięczał on Marylli zwrot do poezyi ludowej; ciekawy dowód na to, znajdujemy w notatach Aleksandra Chodźki, spisywanych w Paryżu, z opowiadania przyjaciela.

„Nigdzie, mówił Mickiewicz, życie nie płynie tak wesoło, jak w wioskach szlachty litewskiej. Tego rodzaju życia, używałem w pełnem słowa znaczeniu w Tuhanowiczach u Wereszczaków, gdzie spędzałem wakacye z Zanem i innymi kolegami. Wieczory zbiegały nam na przechadzkach po lesie i nad brzegami jezior. Wymyślano coraz nowe zabawy. Dnia jednego Marya wsłuchawszy się w ciekawą powieść rybaka, zwróciła się do mnie i rzekła: „Oto mi prawdziwa poezya! napisz pan coś podobnego.” Te słowa przeniknęły mnie do głębi; od tego dnia datuje mój poetyczny kierunek. Dzieckiem jeszcze, wyuczyłem się na pamięć bajek i pieśni wieśniaków naszych. Zachęcony przez Maryę zacząłem pisać Ballady.”

(Dalszy ciąg nastąpi.)

W PODRÓŻY.

Ustałem na wpół drogi z głodu i znużenia,
Przedemną świat się kryje w nieprzejrzane mroki,
Za mną przebytych cierpień snują się wspomnienia,
I skalistych wybrzeży ponure widoki.

Zda mi się słyszeć jeszcze ryk dzikiego zwierza,
Świst węża, łoskot fali co w okręt uderza;
I uwierzyć nie mogę, żem już przetrwał tyle
Bez wsparcia, bez opieki, lecz o własnej sile.

Co mówię? Pan mnie wspierał cudem niepojętym?
On zsyłał mi na puszczy i napój i mannę,
On mi na pełnem morzu sterował okrętem,

Kiedy nim huragany trzęsły nieustannie,
On mi nadal w noc ciemną zalśni firmamentem,
Więc śmiało dążę naprzód, śpiewając Hozannę.

Emilia.

STARE GNIAZDO.

HUMORESKA

SKREŚLIŁ

Anatol Kr.

(Dokończenie.)

W trzy miesiące później, stary pałac Gedyminów smutny przedstawiał widok. Meble, sprzęty, obrazy, srebra, kosztowności, wszystko to stało spakowane, jako wyprawa kniaziówny; w domu nic prawie nie pozostawało, stary prezes bowiem przenosił się na mieszkanie do córki, która w samych przygotowanych ruchomościach krocie zabierała. Ślub miał się odbyć za tydzień w Warszawie, zkąd wszyscy wprost już jechać mieli na Podole.

W dawnym, ogołoconym ze wszystkiego salonie, stał tylko stolik od kart, przy którym prezes z Taratutem wzdychając ostatnie odgrywali partye, opodal zaś Terenia pochylona nad kanwą gawędziła z Bronisławem, przywróconym do łask starego despoty, odkąd tak chętnie wyrzekł się sentymentu względem pięknej kuzynki.

— Terka, co tam haftujesz? — spytał kniaź rzuciwszy rozrzewnione spojrzenie na córkę.

— Pas do strzelby dla mego narzeczonego — odparła rumieniąc się czarownie.

Stary wzruszył ramionami, niedołęztwo przyszłego zięcia irytowało go już od pewnego czasu.

— Alboż on umie strzelać — rzucił wzgardliwie. — Broń nie ma przecież końskiego ogona, ani kobiecej spódniczki.

— Nauczy się — odparła ochoczo. — Mąż Gedyminówny miałby być tchórzem, a cóżby na to pradziad nasz, wielki Gedymin powiedział?

— Prawda — mruknął stary. — Mój Boże, za tydzień ostatnia Gedyminówna inne przybierze nazwisko, potem człowiek umrze i tarczę starego rodu, można będzie wraz z mieczem złamać nad trumną.

— No, a Bronisław przecież takoż Gedymin — zaśpiewał Taratuta.

— Et, Slepść jakiś.

— Ale zawsze Slepść-Gedymin, a ten kochaneńku nie tchórz, krew rycerska w nim gra, jakby wykapany stary kniaź nieboszczyk.

Prezes spojrzał łagodniej niż zwykle na siostrzeńca.

— Prawda — przyznał — dzielny i dobry chłopiec, ale to tylko po kądzieli, po mieczu zawsze Slepść.

Na progu stanął kamerdyner.

— Proszę jaśnie pana, przyjechała moc furmanek po wyprawę kniaziówny.

Starzec zakręcił korbą i obrócił się żywo.

— A hrabia?

— Jutro przybędzie. Tymczasem nadesłał tylko berejtra i ekonoma, którzy mają rzeczy przewieźć dziś na stacyą kolei i wieczornym pociągiem, transportować je na Podole. Pan hrabia przyspieszył o parę dni zabranie wyprawy, bo chce żeby jaśnie pani hrabina wszystko już zastała rozpakowane i urządzone w domu.

Starzec zasępił się, Terenia pobladła, na wszystkich zaś mimowolny cień smutku padł.

— Ha, niech biorą — zadecydował wreszcie.

— Możeby zaczekać za hrabią? — wtrącił Taratuta.

— Pocóż — kniaź wzruszył ramionami — alboż taki... hm... co pomoże. Bronek, tobie to oddaje, bierz ludzi służbę i dopilnuj. Gdy ja nie mogę, twoja rzecz strzedz dobra Gedyminów.

— Pierwszy raz przyznawał mu jawnie to prawo.

— Pamiętaj, że tam są skarby, niech nic nie uszkodzą. Wybadaj czy pewni ludzie i dodaj naszych zaufanych aż na Podole. Takich rzeczy berejtrom się nie powierza. Konie, karety, pójdą także odrazu, bo to własność Tereni.

W chwilę później gorączkowe życie zapanowało w pałacu. Stary kniaź nie mógł usiedzieć przy pikiecie, kalectwo jednak przykuwało go do miejsca. Ciągle tylko wydawał rozkazy co zabrać jeszcze należy, patrząc ze smutkiem na biegającą ochoczo Terenię. Dla niej rozpoczynało się życie, on tracił przeszłość całą, z każdą też paką, z każdym sprzętem, sądził iż jakaś struna pęka mu w duszy, a jednak powtarzał ciągle:

— Brać wszystko, to własność kniaziówny. Tak córki Gedyminów wchodzą w dom mężowski.

Gdy przed wieczorem długi sznur furmanek ruszył z przed ganku, a Bronisław przyszedł pożegnać wuja, starzec po raz pierwszy oddawna, przycisnął głowę jego do piersi.

— Dziękuję ci, dzielnieś się sprawił, my Gedyminowie zawsze tak.

Wkrótce później i Terenia wysunęła się do swojego pokoiku, a kniaź znużony wrażeniami wcześniej poszedł na spoczynek.

* * *

Gdy nazajutrz przebudził się dość późno, kamerdyner podał list następujący:

„Szanowny i kochany wuju!

„Czując, iż daleka podróż w wieku twoim i przy stanie zdrowia, kochanego wuja, grozi niebezpieczeństwem, postanowiliśmy wraz z Terenią oszczędzić mu takowej. W tym celu przeprowadziwszy formalności urzędowe uzyskałem pozwolenie, odrzucenia nienawistnego wujowi przydomku Slepść, a przewiózłszy wczoraj wyprawę Tereni na wyraźny jej rozkaz do mego majątku, dziś o 8-ej rano dozgonnym połączyłem się z nią ślubem. Nie na Podolu więc, a o miedzę czekają drogiego ojca, błagające o przebaczenie i kochające go dzieci.

Teresa i Bronisław ks. Gedyminowie.”

Pod spodem drobniejszem widniało pismem:

„Papo, miecza i tarczy łamać nie będziemy, Bronisław ma dziś podwójne prawo nosić twoje imię; idyotycznym zdechlaczkom zostawiam charty i konie, a was obu tak kocham, iż czekając na ciebie ojcze, mogę tylko wołać: Niech żyją Gedyminowie!”

— Oszukali mnie, wydziedziczę — ryknął starzec — ale z czego? Wszak i tak już wszystko wzięli.

Wtem oczy jego padły na dopisek córki, wargi drżeć zaczęły i rozpłakawszy się, zawołał:

— Dzielny chłopiec, krew nie kłamie, niech żyją Gedyminowie!

Wskazówki umiejętnego ubierania się.

Zebrała i własnemi spostrzeżeniami uzupełniła

Doświadczona Warszawianka

M. Niemitra.

(Dalszy ciąg.)

IV. Umiejętne ubieranie się.

Za czasów króla Ludwika Filipa, pewna elegancka paryżanka pozbawiła się życia, przez wyskoczenie z okna; na tualetce jej znaleziono kartę, na której pewną ręką nakreślone było: „Naccusez personne, j'ai cess'e de plaire".

W naszym kraju, ojczyźnie przytomnych kobiet, podobny fakt zapewne nigdy się niezdarzy.

Dzięki Bogu! tylko bezgranicznie próżne stworzenie stać się może ofiarą zalotności.

Lecz potępiając kokieteryę, która prowadzi do szaleństwa i samobójstwa, nie należy potępiać wrodzonego usiłowania kobiet: powierzchownie przyjemną się uczynić.

Przeciwnie, dążność ta w rozsądnem zastosowaniu, jest obowiązkiem i powinna być zaliczoną do największych zalet. Kobieta jakiego bądź stanu powinna w właściwem słowa tego znaczeniu, starać się podobać, czy w kwitnącej młodości, czy entre deux âges, czy też w wieku sędziwym, z srebrnym włosem: spełnia ona tem naznaczony jej przez naturę obowiązek!

Czem można to osięgnąć? Mniejszemi środkami, jak powszechnie utrzymują. Nie należy popadać w bezwzględne hołdowanie modzie, która często zagmatwia gust, prowadząc go na niewłaściwą drogę; należy zawsze zastosowywać się do własnej indywidualności i odpowiednio do niej ubierać się.

Jak często zdarza nam się na balach kostyumowych, albo też innych przebraniach, spotkać piękność, na którą dotychczas nie zwracano wcale uwagi, gdyż nigdy nie była charakterystycznie, stosownie do cery i koloru włosów ubraną.

Dla młodej panienki wybór stosownej tualety jest bardzo trudnem zadaniem. Sprawiałoby to bardzo przykre wrażenie, gdyby szesnastoletnia wyraziła się o sobie: „ja należę do kategoryi beauté du diable", albo też: „posiadam interesujące rysy". Rozpoznawanie tego bacznym wzrokiem, jest rzeczą matki, która powinna wybrać co stosownem jest dla jej córek.

Jednakowe ubieranie sióstr jest tylko tu na miejscu, gdzie jest wspólność karnacyi, figury i postawy; w przeciwnym zaś razie umundurowanie takie, pozbawia owej indywidualności, którą uważam za bardzo ważną. I tak, młodszej siostrze, z naiwnie zadartym noskiem jest bardzo do twarzy w kapelusiku fasonu „Nanon", gdy przeciwnie starsza, o ściągłej inteligentnej twarzy i myślących oczach, staje się w fasonie tym podobną do karykatury. A więc, lepiej rozsądną zmianę!

Pewna dama, wyższego towarzystwa, która jeszcze w sześćdziesiątym roku swego życia była podziwianą pięknością wszystkich salonów, powiedziała pewnego razu: „Są epoki w życiu kobiety, kiedy kolor fijołkowy jest stosowniejszy od różowego. Biada, gdy o tem zapomni! Unika się towarzystwa, z obawy nie popadania co chwila w kłamstwo i szepcze się swemu sąsiadowi na ucho: najniebezpieczniejszą śmiesznością, w jaką kobieta popaść może, jest zapóźne dojście do przekonania, że nie jest już młodą."

Tylko wiosna kobiecego życia wzbudza podziw świata, gdy dla innych póz posiada tylko hołdy pełne obłudy, ukryty, złośliwy uśmiech i obrażające lekceważenie.

A jednak i niemłoda kobieta może być powabną i pięknie się prezentować, jeżeli umie się dobrze ubrać!

Wysokie postacie i silnie zbudowane indywidua niepowinny nigdy nosić krótkich i obcisłych tualet; dla nich wynalezione zostały fałdziste stroje, umiejętną draperyą których odznaczały się kobiety starożytnego Rzymu.

Osobom tęgim i słusznego wzrostu nie radziłabym używać angielskich kostyumów. Nizkie, kształtne figurki bardzo ładnie w fasonach tych się prezentują. Korpulentne figury powinny, o czem wyżej już wspominałam, używać suto garnirowanych fasonów, wystrzegając się jednak, jak wogóle we wszystkiem przesady.

Staniki, dla pełnych figur nie należy nigdy przygotowywać z materyałów w deseń, gdyż tracą one na fasonie, jeżeli wzrok zostaje przyciągnięty jaskrawemi kolorami i dużemi deseniami. Materyałów w dużych deseniach, mille fleurs nie powinno się nigdy używać na staniki, lecz zawsze w połączeniu z gładkim materyałem. Jeżeli dama posiada pełną figurę, wtedy stanik taki przedstawia się jak nieforemny bukiet, który już z powodu swej wielkości sprawia nieestetyczne wrażenie. Jeżeli zaś figura jest szczupłą, wtedy deseń ten działa jeszcze niekorzystniej, gdyż rozmiary jego przyciągają wzrok, bardziej uwydatniając niż zakrywając braki zbyt smukłej figury.

Wykończanie staników bywa tak rozmaitem, że dla każdej figury można coś stosownego znaleźć. I tak: panie o pełnych figurach, powinny wybrać gładkie staniki, śpiczasto zakończone i wystrzegać się modnych, obecnie zbyt wysokich kołnierzy, gdyż przez to figury ich wydają się jeszcze pełniejszemi; szczupłe osoby mogą używać marszczonych staników, wyrzucanych kamizelek, albo też gładkich, okrągłych staników.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Pozostawszy sam na sam z przyjacielem, Ludwik nie usiłował zawiązać rozmowy, wreszcie znudzony długiem milczeniem Thauziat, odezwał się pierwszy:

— Zostawiłem ci dużo czasu na rozmowę z lady Olifaunt i powinieneś mi być wdzięcznym, za to, że umiem być dyskretnym. Uważałeś pewnie, że wszedłem dość hałaśliwie, aby was uprzedzić o mojem przybyciu. Zdaje mi się, że jesteście ze sobą na bardzo dobrej stopie.

— Tak jest w istocie — odparł oschle Ludwik.

— No, no, no — rzekł zmieniając głos Thauziat — w taki to sposób wyraża się twoja wdzięczność?... Jeśli Dianna nie okazała się dla ciebie uprzejmą, nie moja w tem przecież wina!

Ludwik położył dłoń na ramieniu przyjaciela i rzekł spoglądając nań z powagą:

— Słuchaj Klemensie, zapewnie zgodzisz się na to, abyśmy nie mówili nigdy ze sobą o lady Olifaunt? To będzie daleko lepsza taktyka, niż wyrażanie się o niej z takiem ubliżającem lekceważeniem.

— Jakto? zaszliśmy więc już tak daleko! — zawołał zdumiony Thauziat. — Lecz cóż się to stało? Co ona mogła ci powiedzieć? Zkąd wypływa ten nagły szacunek i niespodziewana surowość zasad?

— Trzy słowa wytłomaczą ci to wszystko: ja ją uwielbiam.

— Nie powiedziałeś mi nic nowego. Wiem przecie, że szalejesz za nią już od pół roku.

— Powtarzam ci, że ją uwielbiam — podchwycił Ludwik z uniesieniem i jestem gotów na wszystko byle się z nią tylko nigdy nie rozłączyć. Wykradnę ją, rozwiodę i ożenię się, jeśli tego okaże się potrzeba.

Thauziat zmarszczył brwi gniewnie i pocierając białą, kształtną ręką czoło jakby dla odpędzenia niemiłej myśli, szepnął ścicha do siebie:

— Kobiety są zwykle przenikliwsze od nas. Emilia przeczuła dokąd może dojść cała ta przygoda.

Poczem dodał głośno, przysuwając się do przyjaciela.

— Wykraść ją, to już wiele, lecz ożenić się z nią to dużo za wiele. Bo i powiedz mi na co się masz żenić z Dianną, kiedy możesz zupełnie inaczej postąpić.

— Ah! strzeż się Klemensie! — zawołał Ludwik bledniejąc — znieważasz kobietę, którą kocham a uprzedzam cię, że tego nie zniosę.

— Cóż to, posuwasz się do groźby, jeśli się nie mylę! — rzekł Thauziat tak szorstkim tonem, że w Ludwiku zadrgały wszystkie nerwy.—Do licha! czy myślisz, że mnie tem wzruszysz lub przestraszysz? Ależ, zakuta głowo chciejże zrozumieć, że jeśli ci się ta urocza istota tak bardzo podoba, nikt ci nie broni być jej kochankiem!... Lecz żebyś ją miał wykradać lub zmusić do rozwodu z tym poczciwym sir James... Byłoby to więcej niż szaleństwem, a sir James nie darowałby ci nigdy tego, żebyś go postawił w tak przykrem położeniu.

Tu zaczął się śmiać głośno a wesołość ta do rozpaczy doprowadziła Ludwika, który z zaciśniętemi pięściami poskoczył do przyjaciela wołając:

— Powtarzam ci raz jeszcze, strzeż się Klemensie! Wiesz, że to podłość znieważać bezbronną kobietę!...

— Strzeż się ty sam! — przerwał mu porywczo Thauziat. — Wielki jeszcze z ciebie głupiec, skoro pozwalasz się otumanić takiej kłamliwej zwodzicielce... Czy namiętność zaślepiła cię do tego stopnia, że zapominasz nawet o mojej przyjaźni i wahasz się pomiędzy kobietą a mną?... Dla ukarania cię, pozwoliłbym aby się z ciebie wyśmiewa-

no, gdybym nie był uroczyście przyrzekł pewnej osobie, która jest tak dobrą, że zajmuje się twoim losem, że pomogę ci uniknąć grożącego ci niebezpieczeństwa... Wszak prawda, że wierzysz w czystość, prawość charakteru i miłość Dianny?

— Wierzę! — odparł z niezachwianem przekonaniem Ludwik.

Właśnie gdy domawiał tych słów, do biblioteki wszedł Lereboulley podniósłszy się tylko co od zielonego stolika.

— Jest już bardzo późno — odezwał się senator — wy, młodzież, zostajecie pewno jeszcze, lecz ja wracam już do domu... Pójdę nawet piechotą, aby ochłonąć z tego nieznośnego gorąca... Dobranoc wam, a raczej... dzień dobry...

I skinieniem ręki żegnając obecnych, oddalił się zwolna ociężałym krokiem. Wtedy Thauziat zwracając się do przyjaciela, rzekł mu z powagą:

— Lereboulley idzie piechotą, chodźmy za nim, tak, aby nas nie spostrzegł... Przynajmniej będziesz wiedział czego się trzymać.

Zbiegli szybko na dół, wzięli palta i wyszli na pola Elizejskie. O jakie pięćdziesiąt kroków przed sobą zobaczyli senatora, który zapaliwszy cygaro, włożył ręce w kieszenie palta i z laską pod pachą szedł zwolna pustą ulicą.

— Lereboulley wraca do siebie — szepnął Ludwik.

— Zobaczysz—odpowiedział Klemens.—Chodźmy po za drzewami, aby nas nie poznał.

Doszedłszy do zbiegu ulic, Lereboulley zamiast skręcić w ulicę d'Antin, zwrócił się na lewo, przeszedł na drugą stronę jakby kierując się do cyrku i zapuścił się w ulicę Gabriel. Thauziat siłą niemal ujął przyjaciela pod ramię i uczuł, że tenże drżał jak w febrze.

— Zaczynasz podejrzywać dokąd on idzie, nieprawdaż? — zapytał.

Ludwik nic nie odpowiedział tylko oddech jego stał się głośniejszy i szybszy jak gdyby ciężar jaki spadł mu na piersi. Senator szedł spokojnie, nie domyślając się, że jest tak pilnie strzeżony.

Przed kawiarnią des Ambassadeurs, Thauziat zatrzymał swego przyjaciela. Tu ukrywszy się za grupą roślin, mogli widzieć doskonale każdy ruch senatora. Lereboulley uszedł jeszcze ze dwadzieścia kroków i zatrzymał się wreszcie przed małemi drzwiczkami, znajdującemi się w kracie okalającej ogród. Zwoje bluszczu ukrywały je prawie zupełnie przed ciekawym wzrokiem przechodniów. Bystrym wzrokiem obejrzał się Lereboulley dokoła, chcąc się przekonać czy nikt za nim nie idzie, poczem wyjąwszy klucz z kieszeni, otworzył drzwiczki i zniknął po za niemi. Stłumiony okrzyk zgrozy i oburzenia wyrwał się z piersi Ludwika a twarz jego pobladła z gniewu, gdy zwracając się do nieruchomie stojącego przyjaciela—rzekł drżącym głosem:

— Nędznica! dała mi do zrozumienia, że to jej ojciec!

Thauziat wzruszył ramionami.

— Ona radaby wszystkich utrzymać w tem mniemaniu. Musi przecież czemś usprawiedliwić zbytek swego otoczenia. Od chwili, gdy przyjechała do Paryża, Lereboulley kompromituje się dla niej... Wiesz już teraz dlaczego Emilia ją nienawidzi... Po tem co ci powiedziałem, możesz być jej kochankiem jeśli ci się to podoba, ale nie wykradaj jej bo to zupełnie rzecz niepotrzebna, a nadewszystko nie żeń się z nią, byłoby to hańbą i ubliżeniem dla ciebie.

— Nie chcę jej widzieć nawet!

— O! przesadzasz znów, mój drogi. Widywać ją można, tylko ufać jej nie należy!

Ludwik ujął dłoń Klemensa i uścisnął ją serdecznie.

— Przebacz mi wszystko co ci powiedziałem — rzekł z głębokiem wzruszeniem — byłem szalony!

— Nie mam do ciebie urazy za to, coś powiedział w gniewnem uniesieniu—odparł Klemens — tylko mi przykro, że zmusiłeś mnie do tego, iż zdradziłem kobietę!

I ujmując znów przyjaciela pod ramię, uprowadził go daleko od tego domu, który mimowoli zdawał się go pociągać ku sobie.

IV.

Była godzina pierwsza po południu i Helena Graville zjadłszy śniadanie, zabrała się znów do pracy, gdy odgłos dzwonka powołał ją do drzwi wchodowych. Otworzyła je i cofnęła się krokiem w tył, widząc przed sobą małego wzrostu staruszkę, ubraną w bogatą suknię i piękny, czarny koronkowy czepeczek.

W nowoprzybyłej poznała odrazu panią Hérault.

Babcia z przychylnym uśmiechem, spojrzała na swą młodą i powabną lokatorkę i wchodząc do mieszkania rzekła:

— Wybacz, moje dziecię, jeśli ci przeszkodziłam... Lecz przyszłam do ciebie tak po sąsiedzku, bez ceremonii. Powiedziano mi, że jesteś bardzo zręczną haftarką, a ja mam właśnie wielkiej umiejętności wymagającą robotę, którą pragnęłabym ci powierzyć.

— Bądź pani łaskawą wejść, proszę — rzekła dźwięcznym głosem młoda dziewczyna — zawczasu jednak przepraszam cię, za panujący u mnie nieład.

Mówiąc to, wskazała ręką na przeróżne materyały rozrzucone po krzesłach i konapce i na maszynę do szycia, na której leżały rozmaitych barw nici, przybory dżetowe i powyjmowane z pudełek perełkowe pasmanterye; pod samem zaś oknem, z którego tyle razy czatowała na powrót Ludwika, był stół a na nim rozłożona wspaniała, w części już zahaftowana materya.

— Wiem ja dobrze, co to jest nieporządek przy pracy — zaczęła pani Hérault, siadając na wyplatanem krześle.—I ja też pracowałam ciężko przez czterdzieści lat mego życia i dziś jeszcze zajmuję się ogrodownictwem... Ale zdaje mi się, moje dziecię, że chcesz mi wydrzeć palmę pierwszeństwa.

Kończąc te słowa pani Hérault, podniosła się a zbliżywszy się do okna zaczęła z upodobaniem przyglądać się kwiatkom, posadzonym w drewnianej skrzynce, zajmującej całą szerokość parapetu. Różnobarwne hyacynty otoczone bluszczem, rozweselały oko i roztaczały miłą woń dokoła!

— Te ładne kwiatki zastępują mi firanki w lecie — odpowiedziała wesoło młoda dziewczyna — a przytem ja tak mało wychodzę, że muszę mieć choć trochę kwiatów, któreby mi wieś przypominały. Dziecinne moje lata spędziłam na wsi, biegając swobodnie po polach i łąkach, to też najprzykrzejszą dla mnie rzeczą, skoro przyjechałam do Paryża, była konieczność przesiadywania w mieszkaniu... Lecz człowiek do wszystkiego przyzwyczaić się może — dodała z czarującym uśmiechem.

— Jak widzę jesteś filozofką.

— Trzeba nią być koniecznie... Gdybym nie usiłowała zapatrywać się na wszystko z dobrej strony, charakter mój stałby się cierpkim i nieznośnym a wtedy byłabym istotą godną szczerego politowania.

— A teraz nie jesteś w takiem położeniu?

— Nie, pani, przynajmniej pod względem materyalnym, gdyż zarabiam moją pracą tyle że mi to aż nadto wystarcza, lecz pod względem moralnym dużo za to pozostaje mi do życzenia. Przed rokiem poniosłam stratę po której nic mnie pocieszyć nie zdoła.

A gdy pani Hérault spojrzała na nią pytająco, Helena dodała z lekkiem w głosie drżeniem:

— Straciłam matkę i pozostałam sama jedna na świecie.

Na to wspomnienie łzy zabłysły w oczach młodej dziewczyny, która ocierając je szybko zaczęła tłomaczyć się przed staruszką.

— Przepraszam panią, że ją nudzę opowiadaniem o sobie. Niech pani będzie łaskawą powie mi w czem mogę być jej użyteczną?

Pani Hérault rozwinęła paczkę starannie związaną różową wstążeczką, i wyjmując z niej prześliczną szarfę z chińskiej krepy haftowanej różnokolorowemi jedwabiami, podała ją Helenie mówiąc:

— Patrz jakie mi się przytrafiło nieszczęście: panna służąca przez nieuwagę spaliła mi część tego haftu, okrywającego stolik w mojej sypialni, a ponieważ szarfa ta jest drogą dla mnie pamiątką, chciałabym aby można coś na to poradzić... Słyszałam, moje dziecię, że haftujesz cudownie... Deseń ten jest niesłychanie trudny do roboty, drobny i delikatny jakby pędzlem nie igiełką wykonany... Widzisz są tu ptaszki i kwiaty wycieniowane artystycznie... Czy mogłabyś się podjąć naprawić część, która uległa zniszczeniu?

Helena pochylona nad delikatną materyą, przypatrywała jej się z zajęciem obracając ją w ręku na wszystkie strony. Zdawało się, że dotknięcie tej cudownej tkaniny, sprawia jej rozkosz tajemną.

Usposobienie prawdziwej arystokratki przejawiało się u niej zawsze w upodobaniu rzeczy wytwornych i patrząc na nią jak rozwijała i mięła powiewną szarfę, można było poznać odrazu, że pochodzi z wyższych sfer społecznych nawykłych do zbytku i elegancyi.

Pani Hérault tymczasem przypatrywała się umeblowaniu skromnego pokoiku. Pomimo, że Helena przepraszała ją za nieporządek, czystość i ład wyglądały tu z każdego kącika. Sprzęty nie wykwintne jaśniały jednak czystością dowodząc, że właścicielka ich codzień starannie otrzepywała je z kurzu. Samo nawet rozstawienie przedmiotów nie miało na sobie cechy pospolitości, przeciwnie, małe lusterko artystycznie opięte pluszem, na stoliku kilka fraszek niekosztownych lecz rozmieszczonych gustownie, jedwabna kapa okrywająca łóżko i półeczka pełna książek ładnie oprawnych i ozdobionych cyfrą, świadczyły, że mieszkanka tego ubogiego pokoiku nie zawsze była skromną pracownicą, zmuszoną igiełką zarabiać na swe utrzymanie. Szczególniej bogata oprawa książek zdawała się być zabytkiem i pozostałością minionej zamożności. Po nad kominkiem widniał w czarnych ramach portret młodego, eleganckiego mężczyzny, którego szlachetna twarz zdawała się spoglądać z uśmiechem. Przed portretem stał mały bukiecik fijołków, kupiony zapewnie za kilka su, lecz umieszczony tu z jakiemś pobożnem uszanowaniem.

Babcia przypatrywała mu się chwil kilka uważnie, lecz nie mogła przypomnieć sobie rysów tej twarzy. Po chwili zwróciła się do Heleny z zapytaniem:

— Czy to twój ojciec, kochanko?

— Tak, pani — odpowiedziała Helena nieco przyciszonym głosem jak gdyby mówiła w kościele.

— Powiedziano mi, że nazywasz się Helena Graville — ciągnęła dalej pani Hérault. — Znałam w Normandyi wioskę, nazywającą się tak samo i położoną niedaleko Saint Aubin. Może więc przypadkiem pochodzisz z tamtej okolicy?

— Urodziłam się w zamku de Graville — rzekła poważnie Helena.

Na te słowa obie kobiety zamilkły i każda z nich własnemi zajęła się wspomnieniami. Młoda dziewczyna oczyma duszy ujrzała wielki park z cienistemi szpalerami bukowemi, które przerzynały pięknie utrzymane zielone trawniki, zbiegające pochyło aż do brzegów rzeczki la Seie i sady pełne jabłoni, które na wiosnę białym okrywały się kwieciem a w jesieni gięły się pod ciężarem żółtych i czerwonych owoców. Zdawało jej się, że czuje na twarzy musnięcie świeżego, od strony morza powiewającego wietrzyka, który nasycony słonemi wyziewami, nadawał roślinom i trawom niezmiernie pożywne soki. To też na pastwiskach tamtejszych wypasały się śliczne krowy, dające wiele doskonałego mleka. Na wzgórzu wznosił się pałac otoczony balustradą z kamieni i cegły a w pośród gęstych krzewów bzu i szczodrzenicy, przechadzała się kobieta wsparta na ramieniu wysokiego mężczyzny, podobnego do portretu wiszącego nad kominkiem. Kobieta miała jasne włosy, płeć świeżą i uśmiech szczęścia na ustach. Helena ścigała ich wzrokiem dopóki nie znikli na skręcie alei a wtedy cały krajobraz przybierał nagle pozór smutny i posępny jak całe obecne jej życie.

W wyobraźni sędziwej staruszki zjawił się widok czarnej i zakopconej fabryki z której trzask młotów rozchodził się daleko. Przy gorejącem ognisku stał Hérault, piękny podówczas chłopiec z blond włosami i świeżą cerą właściwą Normandczykom. Pod bujnym wąsem uśmiechały się rumiane usta a żylaste ręce kuły rozpalone do białości żelazo. Opiłki metalowe unoszące się w powietrzu, okrywały mu twarz i włosy nie szpecąc go bynajmniej! O! staruszka pamiętała doskonale te przechadzki nad brzegiem rzeczki w pośród łąk zieleniejących i pierwszy pocałunek jaki zamienili niemal bezwiednie, upojeni powrotem wiosny i czarowną wonią rozkwitających głogów!... Niestety, ileż łez wylała później. Ojciec Gandon zły i upokorzony, że Hérault porzucił jego córkę, groził, że go zabije. Biedna dziewczyna spędzała noce we łzach i zmartwieniu i byłaby zgubioną na całe życie, gdyby nie pani z zamku. Hrabina jak wiemy wpłynęła na zwodziciela, aby poprosił ojca Gandon o rękę Fifiny i wszystko ułożyło się jak najlepiej a szczęście i coraz większy dostatek stawał się udziałem skromnego dotychczas robotnika. Tak więc zamążpójście, majątek i stanowisko w świecie pani Hérault zawdzięczyć mogła jedynie szlachetnemu wpływowi uczciwej kobiety, której wnuczka była dziś biedniejszą i bardziej osamotnioną na świecie niż wtedy córka karczmarza.

— A więc urodziłaś się w zamku de Graville? — zagadnęła pani Hérault — a twemu ojcu na imię było Henryk, nieprawdaż?

— Tak, pani — odparła zdziwiona Helena — ale któż pani mógł o tem powiedzieć?

— Moja panienko — zaczęła wzruszona staruszka — ja także jestem rodem z Graville i skoro byłam ubogą wiejską szwaczką, babka twoja wzywała mnie nieraz do zamku i dawała mi robotę. Ojciec twój małym był wtedy chłopcem, bawiłam się też z nim i piastowałam go na kolanach. Dowiedziawszy się, że jesteś zmuszona utrzymywać się z pracy rąk, uczułam wyrzuty sumienia a myśl, że ty i najbliżsi twoi cierpieliście może nędzę nie dała mi chwili spokoju. Z goryczą obwiniałam siebie o szkaradną niewdzięczność i nie wiem jak dziękować Bogu, że nadarzył mi sposobność zbliżenia się do ciebie.

— Niech pani bynajmniej nie troszczy się o mnie — przerwała jej Helena — upewniam panią, że nie zbywa mi na niczem, a nawet jak matka żyła, mogłam z pomocą Bozką zapewnić jej wszelkie wygody.

— Jesteś mężną dziewczyną i cieszę się, że cię widzę taką. Lecz mówiłam ci już, że wszystko zawdzięczam twojej rodzinie. Nie jestem wiele znaczącą w świecie osobą, nie byłabym i tem jednak, gdyby nie dobroć i wspaniałomyślność twej babki, która dała mi posag i ułatwiła tym sposobem panu Hérault możność ożenienia się ze mną. Pieniądze otrzymane od twej babki były pierwszą podstawą naszego majątku, bogactwa więc nasze zawdzięczamy także pani de Graville, gdyby nie ona, Hérault do końca życia byłby może tylko robotnikiem w fabryce na prowincyi a ja pozostałabym starą panną i nie doszlibyśmy do tego co nam zapewniła wspólna nasza praca. Widzisz więc jaki dług wdzięczności zaciągnęłam względem twej rodziny a tem samem względem ciebie, pozwól więc abym ci się choć w małej cząsteczce wypłacić mogła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Stryj i synowiec, komedya w trzech aktach, oryginalnie napisana przez Anielę Tryplinównę.

Kto tylko z ludzi starej daty cofnąwszy się myślą w przeszłość, zapamiętał jak to „in illo tempore" bywało, przyznać musi, iż pomiędzy dwoma następującemi po sobie pokoleniami leży przepaść pojęć, wyobrażeń i dążeń. Dawniej ludzie zachowawszy wiarę i obyczaje ojców swoich, żyli nie tylko dla siebie lecz i dla innych, a jeżeli idealizując czynniki egzystencyi popadali niekiedy w niepodobne do urzeczywistnienia mrzonki, to zawsze motorem, który kierował ich postępkami, była szlachetność stanowiąca, że tak powiem katechizm obywatelskiego żywota. Dziś nowa generacya patrzy niby trzeźwiej i prozaiczniej na rzeczy: walka o byt zastępuje w niej poświęcenie, interes pieniężny — sercowe popędy, a rachunkowość — wzniosłe dążenia. Charakterystyką tych dwóch wprost przeciwnych sobie prądów, uosobiła panna Aniela Tryplinówna w dwóch postaciach Stryja i Synowca. Jest tu więc marszałek Ulanicki, człek bogaty, nieżałujący jednak nigdy swego majątku, gdy chodzi o poparcie zacnego celu i syn jego brata pan Adam, na wskroś przejęty nowatorskiemi tendencyami młodzieniec.

W pierwszym akcie widzimy salon hrabiny Dubieckiej, gdzie odbywają się pertraktacye o zawarcie małżeństwa jej siostrzenicy panny Jadwigi Kamieńskiej z wyżej wymienionym konkurentem. Ten niby to kocha swoją narzeczoną, ale że pozycya jego finansowa pozostawia wiele do życzenia, więc też w matrymonialnych jego marzeniach, niepośledenią odgrywają rolę miliony, jakie dziad młodej panienki, semickiego pochodzenia zbogacony kupiec, swej wnuczce zapisał. Wspomniony zapis rzeczywiście ma miejsce, lecz pod warunkiem, iż obdarzona po swem zamążpójciu wyrzecze się kraju i zamieszka stale za granicą.

Wykonawcą owego testamentu naznaczył drugiego swego syna, niegdyś berdyczewskiego żydka, a obecnie konsula p. Ritter v. Steindorfer. Skutkiem nagromadzenia tylu różnorodnych pierwiastków, następuje starcie. Marszałek wygłasza zasady na wskroś obywatelskie, które niepozwalają dla zdobycia miłego grosza wyrzec się kraju, rodziny, narodowości: konsul obstaje przy warunkach testamentu, synowiec zaś nie chce zrzec się trzech milionów i byłoby może przyszło do zerwania, gdyby zapadająca w samą porę kortyna nie przerwała dalszych waśni.

Półgodzinny antrakt ułagadza widocznie rozjątrzone umysły, gdyż w drugiej odsłonie znajdujemy przeciwników podejmujących po raz wtóry tę samą kwestyę, z pewnemi jednak zmianami. Szlachcic chce zapisać synowcowi swe dobra, lecz pragnie, aby młoda para pozostała w kraju, gospodarząc na rodzinnym zagonie, skutkiem czego kupiec odmawia wypłacenia milionów a pozytywny pan Adam na samą myśl o tak znacznym zmniejszeniu posagu, ostyga w swych miłosnych zapałach, znów więc powstają kłótnie, swary i zasłona spuszcza się w chwili stanowczego zerwania małżeństwa.

Trzeci i ostatni akt daje nam poznać prawdziwe uczucia panny Jadwigi. Nie, ona nie kochała nigdy Adama; jeżeli zaś chwilowo obałamucona urokiem młodości przystojnego młodzieńca, wzięła illuzye wyobraźni za rzeczywistą miłość, to samolubstwo i przywiązanie do mamony reprezentanta nowoczesnych idei, odczarowało ją zupełnie. Natomiast pełen szlachetności charakter marszałka, zmusił serduszko nieskażonej poziomemi prądami dziewicy, do poddania się więcej na rozumnych poglądach niż na odbłyskach fantazyi opartemu uczuciu. Koniec końcem bohaterka sztuki oddaje swą rękę krzepkiemu wprawdzie jeszcze, lecz cokolwiek podtatusiałemu stryjowi eks-narzeczonego. Nie potrzebuję dodawać, że młody pozytywista odjeżdża wraz z konsulem za granicę, gdzie zapewne idąc z duchem czasu, ożeni się bogato i przyjmie narodowość niemiecką... czego mu z całego serca życzymy. Przy podobnem bowiem usposobieniu daleko lepiej aklimatyzować się wśród obcej ziemi, niżeli tkwić jako nieswojski pierwiastek na naszym ojczystym gruncie.

Pomysł tej tendencyjnej sztuki jest wybornym, dodać jednak należy, iż zestawić dwa światy a raczej dwa pokolenia z ich ujemnemi i dodatniemi stronami, nadać im właściwy koloryt, przybrać reprezentantów tyle różnych od siebie epok w odpowiednie cechy, stanowiłoby niemałą trudność dla rutynowanych o wytrawnym poglądzie pisarzy, nic zatem dziwnego, iż sympatyczna autorka „Galantuomo", „Syna księżniczki" i t. d., po raz pierwszy probująca swych sił na tem polu, nie zdołała

w zupełności podołać przechodzącemu jej możność zadaniu.

Nadto treść wspomnianego utworu zbyt jest ubogą, ażeby mogła starczyć na trzy akty i z tego powodu pomimo ciągłego ruchu na scenie, akcya wlecze się powoli, leniwo, długie zaś dyskusye finansowe w połączeniu z wyprowadzeniem rodowodów obydwóch familii, tak bywają częstokroć zawikłane iż słuchacz gubi niejednokrotnie w tym labiryncie przewodnią nić Aryadny.

Chromającą akcyę podtrzymuje komizm dorobkiewicza Rittera v. Steindorfer, którego odtworzył pan Ostrowski znakomicie z właściwym sobie talentem. Typ ten skreślony dosadnemi rysami nic zupełnie nie pozostawia do życzenia.

Jest to figura prosto z życia wzięta, od zwierciadlająca, że się tak wyrażę rubaszność i pychę geszefciarza, dla którego złoto bywa Bogiem a zrobienie dobrego interesu jedynym celem życia. Inne osoby do komedyi wchodzące dopełniają dość przyzwoicie całości, o ile im na to warunki dane przez Autorkę pozwalają, z wyjątkiem może Adeli, postaci bladej, bezbarwnej a w dodatku zupełnie niepotrzebnej w sztuce. Naturalnie mowa tu o roli wnuczki Szteinhofera nie zaś o artystce wykonywającej takową, sprawiedliwość przedewszystkiem.

Ludwik Niemojowski.

Służba domowa.

Zasadą nowej metody wychowywania młodego pokolenia, jest przyzwyczajenie go od lat najmłodszych, przynajmniej w Anglii, Ameryce i Australii, do wystarczania samemu sobie we wszelkich wypadkach, wymagających pomocy służących. Jest to jakby przewidywanie, iż kiedyś ludzie przestaną się poświęcać zawodowi służebnemu, i że z konieczności przyjdzie czas taki, w którym każdy zmuszony zostanie sam sobie służyć.

Lord Lytton w dziele swem p. t. *Przyszłe pokolenia* przepowiada stan społeczny, w którym służący będą zastąpieni przez udoskonalone automaty, poruszane siłą, przewyższającą tysiącokrotnie siłę elektryczną. Do tych cudownych wynalazków gorąco muszą chyba wzdychać mieszkańcy państw demokratycznych, jak Stany północnej Ameryki i Australia. Wszelkie profesye mają tam licznych przedstawicieli: nieprzebrana jest liczba adwokatów, doktorów, nauczycieli, artystów, akrobatów. aktorów, braknie tylko — służących. Każdy zbyt ceni swą swobodę i nie chce jej zaprzedawać — chyba za wagę złota. W Sydney pokojówka pobiera 1,000 fran. rocznej gaży, kucharka 1,500 woźnica 1,800 franków. Służący ci, tak hojnie wynagradzani, uważają się za zarównych swoim panom, hardość ich i nieposłuszeństwo przechodzi wszelkie granice. Magnat dolarowy nie ma, właściwie mówiąc, służby w pysznych swych pałacach, są tylko gentlemani od powozów, do koni, od kuchni i od pokojów, wypełniający swe funkcye z dumną niepodległością. W hotelach, podróżny z Europy nie może wyjść z podziwienia na niesforność garsonów — daremnie przyciska po dziesięć razy dzwonek elektryczny, posługacz nie przyjdzie, dopóki sam nie uzna za stosowne się zjawić.

Od pewnego czasu i w Anglii krzewią się także te obyczaje jej kolonii. Podczas gdy wyższe warstwy społeczeństwa brytańskiego pozostały z gruntu arystokratycznemi, niższe demokratyzują się coraz bardziej. Najbiedniejsza dziewczyna woli zapracowywać się i przymierać z głodu, niż wstąpić do służby, gdzie nie mogłaby spędzać swobodnie niedzieli, ani się czesać jak jej pani, według ostatniej mody. Furmani i lokaje uważają zakaz noszenia brody i wąsów za zamach przeciwko przyrodzonym prawom człowieka. To też liczba służących w Zjednoczonych Królestwach zmiejsza się z dniem każdym. W roku 1831 było ich tam ogółem 1 milion, na ludność 24-milionową. W 50 lat potem, podczas spisu w roku 1881, liczba służących wzrosła tylko o 250,000, cyfra zaś ludności dosięgła 35 milionów. Podczas epoki największej pomyślności handlowej i przemysłowej, od roku 1871 do 1881, przyrost ludności wynosił 14 proc., liczba zaś służących wzmagała się zaledwie o 1 proc.

Do domów stręczeń zgłaszają się przeważnie dzieci robotników, zmuszane szukać służby, gdyż ich rodzice są zbyt biedni, aby łożyć na ich naukę, lub też Irlandczycy wypędzeni przez nędzę z rodzinnej ziemi. Jedni i drudzy wnoszą do swego nowego zajęcia zasady otoczenia, wśród którego się urodzili.

Zostawszy lokajem lub woźnicą syn robotnika patrzy się na swego chlebodawcę z temi samemi uczuciami, co personel warsztatów fabrycznych na ich właściciela i administracyę i uważa się za ofiarę niesprawiedliwości społecznej, pozbawiającej go swobody. Gaża jego jest wysoka, pożywienie obfite i wykwintne, praca lekka, lecz cóż mu po tem, skoro nie jest wolnym.

U służących Irlandczyków, tak licznych w wielkich miastach Anglii, niezadowolenie to zwiększa się jeszcze przez narodową nienawiść. Syn biednego dzierżawcy z Connaught, otrzymawszy miejsce lokaja w Londynie, przenosi na swego pana uczucia, które piastował względem swego landlorda.

Wyższe klasy towarzystwa brytańskiego nie czynią ze swojej strony nic, aby położyć koniec tej niechęci: z czasem może to przybrać groźny charakter. Dumne ich, pogardliwe niemal obejście ze służbą, rozjątrza coraz bardziej to nieprzyjazne jej usposobienie. Ilustracyą tych smutnych stosunków jest proces Collin Campbella. Czytając sprawozdania z niego, (które w swoim czasie podawaliśmy naszym czytelnikom), można sobie jasno przedstawić, co się dzieje w przedpokojach arystokratycznych domów w Londynie. Co za przedajność! Jakie bezczelne szpiegostwo! A przedewszystkiem — co za nienawiść, wyczekująca tylko stosownej chwili, aby się zemścić za liczne upokorzenia.

WIADOMOŚCI Z RÓŻNYCH STRON.

Warszawa zaczyna się wyludniać. Skończyła się wystawa inwentarza na placu Ujazdowskim z ogólnem zadowoleniem wystawców nagrodzonych, a miejsce jej zajęły dwie orkiestry, głośno wytrębujące mazury, polki i kontredanse, i kolej elektryczna za dziesiątkę obwożąca ochotników wkoło ogrodzonego placu.

W Zwierzyńcu rozpoczęły się zabawy dziatwy, zbierającej się w gromadkach liczących czasami do półtysiąca ożywionych radością buziaczków. Śliczny to widok! Tak liczny zastęp młodzi kwitnącej wdziękiem pączka kwiat piękny zapowiadającego i niby w jeden olbrzymi bukiet zebranej, rzadko da się zobaczyć nawet w Warszawie.

W dolinie Szwajcarskiej z dniem dzisiejszym kończą się koncerty orkiestry węgierskiej, przez niewybrednych słuchaczy zawzięcie oklaskiwanej.

Teatrzyki w dalszym ciągu występami codziennemi zabawiają Warszawę i jak zwykle, rozpoczęcie widowiska o godzinę opóźniając, międzyakty niemiłosiernie przedłużają. Tym też sposobem zamiast przed jedenastą, kończą widowiska o pierwszej po północy, wprawdzie z wielkiem zadowoleniem restauracyi, ale z przekleństwem widzów ludzi pracy, wymagających wywczasu i przytomności tych, którym chleb daje. Dyrektorowie owych trupp prowincyonalnych nawet nie pojmują ile ponoszą straty na takiem rozmyślnem guzdralstwie i nudziarstwie w przedłużaniu swoich występów. Moglibyśmy setki osób z nazwiska wymienić niebywających w teatrach ogródkowych jedynie dla tego szkaradnego zwyczaju w interesie wyłącznie restauratorów wprowadzonego.

Przedsiebiercy cyrkowi inaczej zupełnie postępują. Wiedząc, że nie restaurator daje im zarobek ale publiczność, starają się o ile tylko mogą bawić ją a ani chwilki nie nudzić. Termin też zaczęcia przedstawienia troskliwie jest pilnowany, program szybko wykonywany, zaledwie jeden z niego numer skończy się, zaraz następuje drugi, zajęcie więc trwa ciągle, nawet w czasie odpoczynku znużonego jeźdźca, występują klowni, aby broń Boże, który z widzów nawet przypadkiem nie ziewnął. Jedyna zaś przerwa dziesięciominutowa nie trwa nigdy dłużej i z tej chętnie każdy korzysta.

W teatrach ogródkowych inaczej zupełnie się dzieje: antraktów najmniej bywa trzy a zwykle cztery a czasem i sześć się zdarza, które zabierają najmniej przeszło godzinę czasu. Do niej dołożywszy drugą godzinę zwłoki przy rozpoczęciu przedstawienia, wypadnie co najmniej dwie godziny najstraszliwszych nudów, wcale przez widzów niepożądanych. Na takie męki dobrowolnie się narażać i to za opłatą bardzo wysoką, trzeba odwagi niepospolitej.

W zeszłą sobotę tradycyjnym zwyczajem odbyła się uroczystość puszczania wianków, starożytna Sobótka już coraz bardziej po wsiach zapominana. Urządzana przez Towarzystwo wioślarskie corocznie, cieszy się zawsze wielkiem powodzeniem. Występują w niej korowody łodzi, choralne śpiewy, puszczanie wianków zwykłych i symbolicznych, przedstawiających rzeki nasze, obrazy z żywych osób, illuminacye, fajerwerki i t. d. Programy te zawsze są bardzo dobrze obmyślane, wybornie wykonane, ale wytężone oko widza na Wisłę, tylko się domyśla, że patrzy na to co program zapowiada a ucho przypuszcza, że szmer dochodzący do niego jest śpiewem. Słowem jest to zabawa, bawiąca bardzo jej przedstawicieli, a widzom nudzącym się, każąca wierzyć, że się bawią wybornie.

Śnieg w Czerwcu. Z Toblach donoszą, iż w zeszłym tygodniu przez dni trzy padał w całej dolinie od Lienz do Bruneck obfity śnieg. Okolica, która pokryta była najpiękniejszą zielonością

i kwieciem, po kilku godzinach przedstawiała widok zupełnej zimy. W niektórych częściach prowincyi angielskiej Cornwallis spadł również dnia 13 b. m. obfity śnieg; rano powietrze było ciepłe i pogodne, około południa zaś gęste chmury pokryły niebo i śród grzmotów i błyskawic spadł najpierw deszcz. Następnie powietrze oziębiło się nagle tak, iż krople deszczu zamieniły się w grad a potem w śnieg, który grubą warstwą pokrył całą okolicę. Śniegu w Czerwcu nie pamiętają najstarsi mieszkańcy miejscowi.

Tegoroczne lawiny i obrywania się skał straszne spustoszenia zrządziły w dolinach południowych Alp Tyrolu. Przez dziesiątki lat jeszcze biedna ludność tamtejsza pamiętać będzie złowrogą wiosnę r. 1888, która przyniosła śmierć setkom ludzi, burzyła domostwa, zabijała bydło, stanowiące niekiedy cały dobytek mieszkańców dolin, i zniweczyła plon z niesłychanym mozołem przez setki lat użyźnianej i uprawianej na stokach gór ziemi. Dobrobyt okolic tamtejszych zniszczony jest na długie lata, a w niektórych miejscowościach może na zawsze.

Powód do rozwodu. W Frankfurcie nad Menem obywatel pewien podał skargę o rozwód z powodu, iż żona nie umiała gotować. Sąd uznał skargę za słuszną i udzielił rozwodu, motywując wyrok tem, iż jakkolwiek przyczyna taka może się wydać żartem, jest ona w istocie bardzo ważną i wywołuje poważne niesnaski w małżeństwie.

W roku 1878 przybył do Warszawy czarny, jak węgiel murzyn, imieniem Sadi.

Rozejrzawszy się po mieście, Sadi uprzykrzył sobie rolę domowego sługi, jaką dotąd spełniał i w ciągu lat kilku kolejno piastował urząd woźnego, kelnera, a nareszcie numerowego w hotelu.

Murzyn uzbierawszy cokolwiek grosza, zapałał miłosnem uczuciem ku posługaczce hotelowej, niejakiej Annie Zeltnerównie, córce stróża, z którą też zawarł związek małżeński.

Nowy związek nie zdołał uleczyć młodego małżonka z nostalgii.

W rezultacie Sadi oświadczył żonie, iż wraz z nią stanowczo postanawia wrócić do swojej ojczyzny.

Młoda kobieta zgodziła się na propozycyę i oto w roku 1884 małżonkowie podążyli do miasteczka Fereniai, położonego na wyspie Madagaskarze, w pobliżu zatoki mozambickiej.

Rodzice Zeltnerównej zgodzili się z wolą losu i powoli zapomnieli o emigrantce, gdy w tych dniach marnotrawna córka przybrana włachmany, schorowana i zmizerowana, zawitała do Warszawy.

Biedna kobieta padła ofiarą dzikiego charakteru małżonka oraz jego rodziny.

Znalazłszy się u celu podróży, Anna zaraz w pierwszych dniach zajęła stanowisko niewolnicy, rodzice bowiem Sadiego nie chcieli zezwolić na ich pożycie i zmusili murzyna do zawarcia nowego związku z kobietą swego plemienia.

Wynędzniała i sterana niedolą, żona negra pewnego razu wykradła się z miasteczka i przybyła do Mozambiku, zkąd jakiś litościwy właściciel faktoryi wysłał ją własnym kosztem na przystań okrętową.

Prawie cudem udało się Zeltnerównej odbyć odległą podróż, podczas której zajmowała się na parowcach szyciem żagli i odzieży dla majtków.

Zaiste, romantyczne przygody...

Tylko trzy kopiejki, powiada Dziennik dla Wszystkich, za które możesz być, o przechodniu! odświeżonym, jeżeli kapryśnemu niebu podoba się urządzić figla twoim... lakierkom.

A dobroczynną tę funkcyą spełniają tu i owdzie snujący się po ulicach mężowie młodocianego wieku, orężni szczotkami, pudełkiem szuwaksu i stołeczkami do umieszczania nogi.

Więc tedy, gdy ciemno-grzązkie błoto zaćmi połysk wyrobu, którym cię obdarował szewc, ty

„szóstaczka tylko dasz
i obuwie lśniące masz".

Farbowanie futer i przerabianie tańszych ich gatunków na droższe, jest obecnie przemysłem rozwiniętym na wielką skalę.

Farbują przedewszystkiem skóry królicze, zajęcze i jagnięce, pewien bowiem znany chemik warszawski dr. W., znalazł sposób farbowania onych skórek na czarno trwale i świetnie, co dotychczas udawało się jedynie farbiarniom londyńskim i lipskim, dla których też miliony sztuk owych skórek wysyłano z Cesarstwa.

Polacy na Sachalinie. Pan Lucyan Jurkiewicz w liście pisanym z Sachalina a ogłoszonym w „Kraju", donosi, że na wyspie Sachalinie przebywa przeszło 500 katolików; dla duchownej posługi przyjeżdża z Mikołajewska ks. Kazimierz Radoszewski. Komendant wyspy, generał Hinze zatwierdził budowę kościoła pod wezwaniem Ukrzyżowanego Chrystusa; zrąb już wzniesiony. Z Polaków znajdują się na wyspie: lekarz wojskowy Antoni Huzarewicz, dozorca więzienny Stanisław Kozarski, pani Dudinowa i autor listu.

Polskie fijołki dla niemieckiego monarchy. W połowie zeszłego miesiąca panna Aniela G., polka, bawiąca w domu ks. Radziwiła (z Nieświeża) w Berlinie, otrzymała ogromny a prześliczny bukiet kwiatów, przeważnie z fijołków złożony, starannie opakowany w koszu, z prośbą o doręczenie go cesarzowi niemieckiemu. W liście zamieszczone były gorące życzenia zdrowia, oraz wyrażone z otuchą pragnienie, by „spełnił ideały, jakie ludzkość pieści". U spodu listu znajdował się podpis: „Polka z nad Wisły". Panna G. natychmiast ów piękny a olbrzymi bukiet oddała księżnej, która niezwłocznie sama odniosła go do cesarzowej Wiktoryi razem z owym listem, przetłomaczonym przez pannę G. na język francuzki. Cesarzowa, równie jak księżna zachwycona pięknością bukietu, sama zaniosła go do komnaty chorego cesarza, który nie mogąc mówić, objawił znakami szczerą uciechę i wdzięczność zarówno za kwiaty, jak za życzenia.

Wyższe kursa żeńskie w Moskwie. W dniu 27-tym zeszłego miesiąca zwinięte zostały wyższe kursa żeńskie w Moskwie, założone w roku 1872 przez jednego z profesorów. Zwinięte kursa żeńskie były właściwie fakultetem historyczno-literackim w zakresie uniwersyteckim. Z początku kurs był dwuletni, a słuchaczek 105 — 107, gdy zaś dodano kurs trzeci, słuchaczek było w roku 1884/5 256. Istniejąc bez wszelkich subsydyów, jedynie z wpisów, kursa miały już w roku 1886 zaoszczędzonych 20,000 rubli.

W okolicy Małkini na cmentarzu wiejskim znajduje się napis na pomniku, tak się kończący:

Płacze w ciężkiej swej boleści nieutulona,
Ta co pomnik kładzie, pozostała żona,
Której zaś Bóg przeznaczył w ciężkiej żyć żałobie,
Bo już szóstego męża złożyła w tym grobie.

* * *

Znany humorysta amerykański, Mark Twain, wystosował oryginalną prośbę do królowej Wiktoryi:

Jej królewska mość, jak się wyraża Twain, przypomina sobie niewątpliwie, że na wiosnę niejakiś pan Bright, oficyalista urzędu podatkowego przysłał do niego wezwanie, aby on, Mark Twain, zapłacił rządowi angielskiemu podatek za książki, które zostały wydane w Londynie. Ponieważ on nie zna p. Bright, a wobec obcych z powodu swego wiejskiego wychowania czuje się zawsze zmieszany, przeto uważa, iż najlepiej będzie, gdy się zwróci do królowej. Nie ma on wprawdzie przyjemności znać osobiście jej królewskiej mości, albowiem gdy niegdyś złożył jej wizytę nie było jej w domu; ale poznał się z lordem-burmistrzem, a jeżeli reszta rodziny podobna jest do niego samego, to jest słusznie nazywana królewską. Spotkał on także kiedyś księcia Walii i w bardzo nieceremonialny sposób ku zobopólnemu zdumieniu. Było to na ulicy Oxford; w chwili właśnie, gdy książę szedł na czele jakiejś procesyi, on — Mark Twain — nadjechał z przeciwnej strony, siedząc na dachu omnibusu. Jego królewska mość przypomina go sobie niezawodnie, gdyż był jedynym na omnibusie i miał na sobie szare palto. On naturalnie poznał natychmiast księcia, gdyż ten miał minę zadowoloną, czemu się zresztą dziwić niemożna bo ma dobrą posadę. Powracając jednak do celu listu, otóż przysłał mu pan Bright olbrzymi dokument, którego on zrozumiéć nie może. Wskutku studyowania tego dokumentu nawpół niepoczytalny napisał do swego wydawcy, aby zapłacił za niego podatek. Sądził on naturalnie, że tu chodzi o jeden rok i że taksa wyniesie najwyżej jeden procent; ale teraz dowiedział się, iż chodzi o lat trzy i o dwa i pół procent. Przejrzał tedy raz jeszcze ów dokument i po pierwsze znalazł, że nie rząd, lecz monarchini otrzymuje ten podatek, po drugie literaci nie są wcale zarubrykowani, a on wciągnięty pod „sklepy, biura, fabryki gazu". Ponieważ z tem wszystkiem nie ma nic do czynienia przeto jasnem jest, iż zaszła pomyłka, a prośba jego do królowej ma na celu zniewolić ją, aby zechciała unieważnić list w którym on upoważnia swego wydawcę do zapłacenia taksy. Królowa nie odczuje braku tych pieniędzy, a obecny rok jest dla literatów bardzo ciężki, ztąd też żywi nadzieję, że może *Her gracious Majesty* petycyę jego uwzględni.

RÓŻNE MYŚLI.

Cnota ma wielu apostołów, lecz mało męczenników.

Helvetius.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Niezapominajce. Korespondentka stała Tygodnika z Paryża, co miesiąc o ubiorach nadsyłająca odpowiednie sprawozdania, jest pani Duchińska. Druga więc korespondentka byłaby zbyteczną, w każdym jednak razie za dobre chęci wielce obowiązani.

NOWE KSIĄŻKI.

Nadesłane do Redakcyi.

Opuściła swieżo prasę III edycya książki tytułowanej: **Najlepsza Metoda** do nauczenia się języka niemieckiego **w 3-ch miesiącach bez nauczyciela,** przez **Reussnera,** kurs wyższy. Forma i treść nowego wydania nieróżni się niczem od poprzedniego, oprócz spisu wyrazów równobrzmiących w wymowie, a różniących się w pisowni.

Wyszła także równocześnie z druku powieść romantyczna **Myśliwi giemz,** przez L. Rellstaba spolszczona przez P. v. Reussnera w odbitce z klucza w tejże metodzie niemieckiej p. Reussnera.

Ruchliwa zawsze księgarnia Gebethnera i Wolffa obdarzyła nas nowem wydaniem **Dzieł Adama Mickiewicza** uzupełnionych życiorysem autora skreślonym przez Piotra Chmielowskiego. Cena wydania tego jest nadzwyczaj niska dotąd niepraktykowana u nas godna firmy tak zasłużonej i wynosi za cztery tomy zbroszurowane 80 kop. w oprawie zaś 1 rs. 50 kop.

Róże i Osty nowelle, obrazki i szkice, przez Wiktora Gomulickiego. Serya I zawiera: Prawo Malthusa. Beppo. Staruszek z Tamki. Mucha. Potrawka z gołębi. Co widział promień wiosennego słońca. Gadająca brzoza. Grzech śmiertelny. Pisarz z Ratusza. Trzewiczki. Na jednominutowym przystanku. Pod parasolem. Wszędzie oni! Mundur. Nakład księgarni Gebethnera i Wolffa.

Błędy społeczne obecnych czasów. Na język polski przełożył ks Jan Prusałajtys. Cena rs. 1 kop. 30 z przesyłką pocztową 1 rs. kop. 50.

Bomba, wybór różnych anegdot, żartów i wierszy humorystycznych.

Historya Cywilizacyi Ch. Seignobos'a w przekładzie Adolfa Dygasińskiego wyszedł zeszyt 5 czyli ostatni. Cenne i pożyteczne to dzieło, obejmuje dzieje postępu cywilizacyi od epoki przedhistorycznej aż do naszych czasów. Wydanie bardzo staranne ozdobione 200 rycinami. Całość kosztuje rs. 5 z przesyłką pocztową 6 rs.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpiesszniejszego wykonania objawionego żądania.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 26 wyszedł z druku i zawiera:

Sorek wodny. — Rybka (wiersz). — Wspomnienia z podróży Jana Grudziaka po Ameryce (z drzeworytem). — Opowiadanie z historyi Rossyi. — Ruiny zamku w Ciechanowie (z drzeworytem).—Przeprawa wojska przez rzekę Bosnę w Hercogowinie (z drzeworytem). — Dwie siostry. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Alinka co jej w domu za dobrze (z drzeworytem). — Panienka pszczółką (wiersz). — Pobyt Olesia na wsi.—Odpowiedzi. Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава, 15 Iюня 1888 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy)

Dodatek.